



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

GAZETA KRAKOWSKA

31-072 Kraków

wydanie ul. Wielopole Nr 1

1 4 -01-85

„Czas nasturcji“ w Teatrze Ludowym

(Inf. wł.). Wielką ucztę Kasprowiczowską zgotowała Barbara Wachowicz tym, którym życie i twórczość „syna ziemi pszennej”, kreślącego w „Księdze ubogich” te oto słowa: „Wszystko co tylko jest w duszy... ludzkiemu oddaję cierpieniu, ludzkiej poświęcam nadziei...”, bliskie sercu pozostają. W sobotni wieczór na widowni Teatru Ludowego w Nowej Hucie, trudno było nawet o miejsce stojące. Wystawiano prapremierę „Czas nasturcji”

— rzecz o Janie Kasprowiczu, (DOKOŃCZENIE NA STR. 4)

pióra Barbary Wachowicz, w reżyserii Bohdana Głuszcza i Wacława Ulewicza (odgrywającego rolę poety) z oryginalną scenografią — urzekającą swoim pięknem zakopiańską Harendą — Józefa Napiórkowskiego i Ryszarda Stobnickiego, muzyką Andrzeja Zaryckiego i barwnym folklorem góralskim w opracowaniu Andrzeja Haniaczyka i kapeli studenckiego zespołu góralskiego „Skalni”.

„Czas nasturcji“ w Teatrze Ludowym

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

przemawia Przybyszewski (Henryk Giżycki), Szymanowski (Marian Jaskulski), Dagny Juel-Przybyszewska (Jolanta Biela), Leopold Staff (Tadeusz Kwinta), Jadwiga primo voto Kasprowiczowa (Katarzyna Lis), żebrak-wróźbita (Andrzej Gazdeczka), sławna gosposia na Harendzie Antosia (Jadwiga Lesiak) i wreszcie ta, którą tak bardzo w życiu ukochał — Maria z Buninów — Mariuszka Kasprowiczowa (Zdzisława Wilkówna). Przez blisko trzy godziny widzowie uczestniczą w lekcji polskiego, mistrzowsko przygotowanej przez aktorów Teatru Ludowego. I choć podczas spektaklu Kasprowiczowi was się odkleił, na co natychmiast sławy ludwisarz i jego najbliżsi. Nie zabrakło i gościnnej goźdźdźiny z Harendy — Hanny Kogutowej. Pod adresem teatru przysłano liczne depezesz gratulacyjne. M. in. od prof. Konrada Górskiego, który życzył aby: „Dusze tych dwojga — Marusi i Jana — przemówiły ze sceny Teatru Ludowego i powiedziały czym może być prawdziwa miłość”.

Rzecz o Janie Kasprowiczu to barwne widowisko o jego życiu, twórczości i miłości do Maruski, u której boku powstały najpiękniejsze Kasprowiczowskie tomiki. Ze sceny

(ip)

ECHO KRAKOWA

31-007 Kraków

ul. Wisłowa Nr 2

15 22-01-85

wydanie

Uczyć bawiac — to zadanie nasze teatry starają się spełniać tym gorliwiej, im mniej placówek kulturalnych znajduje się na danym terenie. Ale niestety, przyglądam się takim przedstawieniom coraz częściej dezaprobata i niepokojem. I coraz mniej wierzę nie tylko w skuteczność, ale również i zasadność takiej dydaktyki teatralnej (czyli czegoś w rodzaju zajęć uzupełniających do lekcji języka polskiego w szkole lub samodzielnego rozwijania zainteresowań dorosłych).

Wystawianie sztuk — lektur szkolnych tak zwane „po bożemu”, gdzie źle pojęta wierność autorowi owocuje w inscenizacjach nieoryginalnych, nieciekawych, akademickich w najgorszym tego słowa znaczeniu, przynosi zwykle więcej szkody niż pożytku, bo zniechęca młodego widza (młodzież bowiem najczęściej jest tu odbiorcą) do sztuki, autora, a co gorsza do teatru jako takiego.

Jest jednak jeszcze zdradliwsza forma dokształcania z desek scenicznych. To kompilacje-sklejanki, czyli „sztuki o...”. Dlaczego zdradliwsza? A dlatego, że w obiecujących szatkach przystępności formy i bogactwa treści niesie ze sobą niebezpieczeństwo nie do uniknięcia: powierzchowność i stereotyp. Żaloszny i płaski substytut wielowymiarowej rzeczywistości.

Najnowsza premiera Teatru Ludowego „Czas nasturcji”, sceny z życia Jana Kasprowicza to kolejny przykład potwierdzający prawdziwość tego faktu. Barbara Wachowicz, autorka utworu — scenariusza — kompilacyjnego zlepkę — bryku, czy jak jeszcze to nazwać, poszperawszy w odpowiednich listach, wspomnieniach, faktach i utworach literackich wreszcie, ukleiła całość długą, mdłą i monotonna. A co gorsza — nierównanie płytka, obfitująca w uproszczenia i banalne szablon. Autorka nie odmówiła sobie pod tym względem niczego; rzeczywistość przez nią przedstawiona wygląda w skrócie tak:

Z teatru

Czas nasturcji

Pruskie gimnazjum II poł. XIX wieku nie uczyło dzieci niczego poza idiotycznym skandowaniem formułek (w języku niemieckim, oczywiście) i posłuszeństwem wymuszonym linijką, trzcinką itp. Młodopolska cyganeria to niepoważna chałastra alkoholików, wydrwigroszy i leniuchów. Szczegółowiej: Rydel nie ma do powiedzenia nic ponad ustawiczne powtarzanie, że pragnie małżeństwa z chłopką. Przybyszewski wylewa z siebie potoki mętnych bredni nie robiąc na nikim większego wrażenia. Wypiański zdolny jest jedynie do podpierania ściany (pod pretekstem „szkicowania” od czasu do czasu). Życie towarzyskie artystów żyjących w Zakopanem w dwudziestych latach naszego wieku charakteryzowało się przede wszystkim sztucznością; w przerwach między wzajemnym kurtuazyjnym prawieniem sobie grzeczności zajmowali się oni dobrotliwym przypatrywaniem i przysłuchiwaniem góralskiemu folklorowi. I tak dalej.

Trzeba tu dodać, że tak zachęceni aktorzy Teatru Ludowego skwapliwie wykorzystali całe zasoby min i gestów również jak scenariusz płytkich.

Góralska gosposia Kasprowicza — Anosia, swoją poczciwość idącą w parze z brakiem bystrości demonstruje widzowi przez gwałtowne mruganie oczu wpatrzonych w mówiącego poetę i równoczesne otwarcie ust o opuszczonych w dół kącikach. Niezwykłość i nadprzyrodzony czar Dagny Juel-Przybyszewskiej objawia się nieustannym wiciem i wyginaniem całej, stojącej tyłem do towarzystwa (a przodem do widzów) sylwetki. Natomiast demonizacja Przybyszewskiego uzewnętrzniać się ma w sposobie

mówienia rwącym się w afekcji głosem i skierowanym w górę spojrzeniu, a także — od czasu do czasu — nie skoordynowanymi podrygami. Wreszcie — to rzuca się w oczy w ostatniej części spektaklu — różnica między warstwami społecznymi: Postacie tak zwane „z ludu” biorą się pod boki, stoją i siedzą w lekkim rozkroku i raz po raz popatrują na siebie porozumiewawczo uśmiechając się szeroko. „Państwo” zaś nogi i ręce trzymają tuż sobie, uśmiechając się z rzadka i powściągliwie.

W końcu — sam Kasprowicz. To właśnie jest najsmutniejsze. Z trzygodzinnego bez mała spektaklu trudno wynieść wrażenie, że to osobowość niepospolita. Wadzący się z Bogiem poeta-filozof? Raczej safandula i nudziarz. Niezrozumiałe wydają się zachwyty nad jego twórczością i osobą raz po raz wyrażane przez krytyków, przyjaciół — artystów i kobiety. Przecież to papierowa kukła pozbawiona emocji i wyrazistych cech charakteru! Wad ten Kasprowicz oczywiście nie ma. Zachęty ma, według tego co usłyszeć można od kładzących mu bliskich, wszystkie czyli właściwie żadne... (bo rozmyte w kaśkadzie tanich komplementów). W dodatku zła na ogół, sztuczna recytacja wierszy Kasprowicza wmontowanych w spektakl nie pozwala uwierzyć w piękno i wartość jego poezji.

Dzieło Barbary Wachowicz zostało, jak sądzę, stworzone po to, żeby przybliżyć postać jednego z naszych najwybitniejszych poetów. I żeby ułatwić, przede wszystkim chyba młodzieży, odpowiedź na ośmieszające pytanie „Za co kochamy Jana Kasprowicza?”. Niestety, poza

Gombrowiczowską repliką „Bo wielkim poetą był” nic mądrzejszego po „Czasie nasturcji” powiedzieć się nie da. A i to nawet niepoważnie brzmiące stwierdzenie pozostaje równie puste i nieudokumentowane jak cytowany pierwowzór z „Ferdynandem”.

Teatr chcąc ze swej strony podnieść atrakcyjność widowiska zmusił grupę aktorów do wyuczenia się elementów zbójnickiego i góralskich przyspiewek, aby tym sposobem umilić widzom ostatecznie pół godziny spektaklu. Do tezy o wielkości Kasprowicza wnosi to oczywiście mało, ale być może zwabi publiczność lubiącą popisy zespołów regionalnych.

PS. Był w „Czasie nasturcji” świeży i autentyczny moment: Wacławowi Ulewiczowi grającemu Kasprowicza odkleiły się wąsy. Usiłował to przez jakiś czas bezskutecznie ukryć przytrzymując je dłonią. Wówczas Zdzisława Wilkówna, grająca trzecią żonę poety, troskliwą Marusię, po prostu przyniosła z garderoby klej i publicznie mu na nowo ów sztuczny zarost przymocowała. Zrobiła to tak bezpretensjonalnie i wdzięcznie i tak przy tym rozbawiła publiczność i swoich scenicznych partnerów, że aż żal, że był to tylko przypadek na premierze...

DOROTA KRZYWICKA

CZAS NASTURCJI — Sceny z życia Jana Kasprowicza — Barbara Wachowicz; reżyseria Bohdan Głuszcak, Wacław Ulewicz; scenografia — Józef Napiórkowski, Ryszard Stobnicki, ruch sceniczny — Bohdan Głuszcak; muzyka Andrzej Zarycki; aktorzy: W. Ulewicz, Z. Wilkówna, J. Lesiak, A. Gazdeczka, W. Bułka, Z. Horawa, T. Szaniecki, A. Dzieszyński, M. Wiśniowska, Z. Klucznik, K. Rutkowska, T. Późniak, G. Forysiak, M. Jaskulski, H. Giżycki, J. Biela, R. Gajewski, Z. Zaniewski, K. Górecki, J. Hojda, J. Koźmiański, Z. Gorzowski, K. Lis, Z. Samogranicki, B. Stesłowicz, J. Sykuta, H. Wietrzny, E. Horecka, T. Lipowska, B. Szałapak, T. Wietczorek i inni. Premiera — Teatr Ludowy, 12 stycznia 1985 r.



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

ZYCIE LITERACKIE

ul. Wiślna 2
31-007 Kraków

wydanie

Nr 4 z dn. 27-01-85

BOŻENA WINNICKA

26 Gdzieżeś się ukrył, mózgu?

Każdy, kto obejrzy „Czas nasturcji”, czyli „sceny z życia Jana Kasprowicza” w Teatrze Ludowym, będzie omijał Harendę z daleka. Tekst, sklecony niedbale przez Barbarę Wachowicz z utworów i listów poety, dzienników i wypowiedzi ludzi mu współczesnych, daje bowiem portret Kasprowicza zgoła przerażający.

Rzecz zaczyna się w Harendzie. Potem, w retrospektywnych „żywych obrazach” pokazano nam mocno wyidealizowane i tawo-sentymentalne wie romancée. Dowiadujemy się więc, że poeta miał matkę, co jak wiadomo nie jest niczym szczególnym, że był ubogi, chodził do niemieckiej szkoły w Inowrocławiu, gdzie nauczyciel bił go okrutnie po łapach i nie tylko. Mimo to wyrósł na poetę, a zapewne dzięki temu na patriotę, który kochał gorąco ojczyznę i górali. Jako człowiek był nudnym, pocziwym fajtapa i stale mówił do rymu, choć nie zawsze z sensem. Cierpiał i nie miał szczęścia w miłości. Poznajemy jego trzy żony. Pierwsza zjawia się jako duch, bo w międzyczasie umarła. Druga zdradziła go i uciekła z Przybyszewskim, czemu trudno się dziwić. Dopiero trzecia okazała się anielsko dobra i otuliła go troskliwie koczykiem.

Wszystko to rzucone zastało na tak zwane szersze tło epoki. W obrazku rozgrywającym się zapewne w Paonie u pana Turlinśkiego występują: Stanisław Przybyszewski, Dagny Juell-Przybyszewska, Stanisław Wyspiański, Tadeusz

Boy-Zeleński, Lucjan Rydel, Jan Stanisławski i paru bliżej nie znanych panów. Piją szampana, grają na tekturowym fortepianie i plotą potworne bzdury. W Harendzie odwiedzają Kasprowicza Leopold Staff, Kornel Makuszyński i Karol Szymanowski. To, co mówią, przechodzi ludzkie pojęcie. Nie-szczęсна sztuko polska, coś na pomniki dźwignęta tę bandę żałosnych idiotów!

Rzecz nie zastugiwałaby na większą uwagę, gdyby nie to, że Teatr Ludowy potraktował dzieło Wachowicz ze zdumiewającą powagą i niewybaczalnym rozmachem, nie szczędząc czasu, pieniędzy i daremnego wysiłku aktorów. Nad jego realizacją biedziło się dwóch reżyserów, dwóch scenografów, jeden kompozytor, jeden specjalista od ruchu scenicznego i jeden konsultant w dziedzinie folkloru góralskiego. W przedstawieniu bierze udział trzydziestu aktorów, statyści, dzieci oraz kapela studenckiego zespołu góralskiego „Skalni”.

Niegdyś scenografię określało się słowem „wystawa”. Otóż wystawa zaprojektowana przez niezawodny team: Józef Napiórkowski i Ryszard Stobnicki nadaje się tylko do wystawienia na dwór. Spektakl utrzymany w podniosłym, napuszonym tonie, mimo procesji, tańców góralskich i diabolicznych pantomim przypomina żywo żałosną akademię, która daremnie usiłuje udawać teatr. Godną oprawą tego przedsięwzięcia byłaby przystoiwowa remiza strażacka nie zaś scena, która usiłuje utrzymać rangę teatru w mieście Krakowie. Teatru z tradycjami, ważną dla kultury teatralnej przeszłością, który ma ambicje teatru popularnego, także dla młodzieży. Karmienie publiczności tym bzdurnym i kiczowatym widowiskiem zastuguje zatem na szczególne potępienie.

Chłopak stojący za mną w kolejce do szatni powiedział do kolegów: „Najbardziej mi się podobało, jak panu Ulewiczowi odkleiły się wasy”. Miał rację. Z oburzeniem i głębokim wstydem wychodziłam po premierze z Teatru Ludowego. I przypomniały mi się słowa Stanisława Przybyszewskiego: „Mózgu, ty biedny, chory mózgu, gdzieżeś się ukrył?”

BOŻENA WINNICKA



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

GAZETA POMORSKA

1
85-011 Bydgoszcz, ul. Śniadeckich 1

wydanie

33

8 -02-85

Nr z dn.

26

List z Krakowa

Czas nasturcji

STANISŁAW KASZYŃSKI

Już przed świętami Bożego Narodzenia 1898 r. meteor Młodej Polski, czyli Stanisław Przybyszewski, nie tak dawno entuzjastycznie powitany w Krakowie, spotkał się ze swym krajanem — Janem Kasprowiczem. Owiane już legendarną ańgdotą spotkanie odbyło się w bardzo wówczas popularnej wśród krakowskiej cyganerii kawiarni „Paon”, usytuowanej naprzeciw Teatru im. J. Słowackiego. Po wypiciu sporej ilości alkoholu, nie wiedząc już, co robić z wzajemnej czułości, nasi wybitni rodacy zamienili się... kamizelkami. Stach oddał przyjacielowi z Szymborza swoją berlińską z dwoma rzędami złotych guzików, z której zresztą był bardzo dumny. W pamięci Boya „Kasprowicz chciał wymienić i pugilaresy, ledwo go przyjaciele powstrzymali”. I słusznie, bo sądząc po stanie kasy Przybyszewskiego byłaby to zapewne wymiana jednostronnie korzystna.

Wiele podobnych zdarzeń ożyło niedawno na scenie sławnego niegdyś w kraju Teatru Ludowego w Nowej Hucie w przedstawieniu pod poetyckim tytułem „Czas nasturcji” — sceny z życia Jana Kasprowicza, autorstwa Barbary Wachowicz. W sobotni wieczór w Teatrze Ludowym trudno było nawet o miejsce stojące, bo na premierę zjechali goście z całej Polski. Wraz z krakowianami zjechali się tu przedstawiciele Białegostoku, Raciborza, Inowrocławia, Poznania, Tarnowa, Zakopanego. Na widowni zasiadła m. in. porońska rodzina Mardulów-Galów, wśród których Kasprowicz napisał „Księgę ubogich”, syn chrzestny poety — Franciszek, światowej sławy lutnik, gościnnie goździna z Harrendy Hanna Kogutowa. W sympatycznej depeszy do twórców i artystów przedstawienia prof. Konrad Górski życzył, by „Dusze tych dwojga — Marusi i Jana — przemówiły ze sceny Teatru Ludowego i powiedziały czym może być prawdziwa miłość”.

Przedstawienie „Czas nasturcji” przerodziło się w barwne widowisko o życiu, twórczości i miłości Kasprowicza do Maruski, u boku której narodziły

się jego najpiękniejsze tomiki. Ze sceny przemówił Przybyszewski (jego rolę zagrał Henryk Giżycki, dyrektor nowohuckiego teatru), Szymanowski, Dagna Juel-Przybyszewska, Leopold Staff, Jadwiga Kasprowiczowa i inni. Grający Kasprowicza Waław Ulewicz dodatkowo ożywił widownię niespodziewanym odklejeniem się wąsów, jednak troskliwa Marusia (Zdzisława Wilkówna) i na scenie posłużyła pomocą, przynosząc z garderoby klej i publicznie mocując mężowi sztuczny zarost.

Postać poety dodatkowo przybliżyła wystawa „Sładami Kasprowicza” urządzona w foyer teatru, a ukazująca m. in. unikatowe fotografie, fragmenty utworów i recenzji, listy do najbliższych. Wart pozyskania jest wreszcie okazały i ciekawy program przedstawienia.

Czy „Czas nasturcji” stanie się niecodziennym wydarzeniem w życiu teatralnym Krakowa, trudno dziś wyrokować, ale do obejrzenia tego wyjątkowego spektaklu serdecznie zachęcam.

Niemal w tym samym czasie krakowska Opera i Operetka (ciągle bezdomna i pracująca w niewyobraźalnie trudnych warunkach lokalowych, już zazdrozcząca artystom bydgoskim wznoszonego tu obiektu) zaprezentowała premierę baletową „Anny Kareniny” do muzyki Rodiona Szchedrina. Reżyserowała Krystyna Gruszkówna, która wcześniej wystawiała ten balet właśnie w Bydgoszczy. W roli Anny Kareniny zobaczyliśmy Aleksandrę Mioduską, przed dwoma laty występującą jeszcze w naszym mieście.

Pozostając w kręgu krakowskich bydgoszczanów pragnę dodać, że wyraźnymi honorami pożegnano na cmentarzu Salwatorskim Edwarda Działowskiego, prezesa Klubu Seniorów Lotnictwa przy Aeroklubie Krakowskim, byłego długoletniego instruktora-pilota, urodzonego w Bydgoszczy 25 lutego 1922 r. Jego ojciec Stanisław Działowski był w okresie międzywojennym znanym konstruktorem samolotów sportowych; tzw. awionetek.

Ślad naszych związków z dawną stolicą Polski pojawił się dodatkowo w związku z opublikowaniem listy ogólnopolskich ofiar na rzecz odnowy Krakowa. Od początku akcji mieszkańcy Bydgoskiego, Toruńskiego i Włocławskiego przekazali na ten cel 566 wpłat na kwotę ponad 1.637.000 zł. A jak to spożytkowano — najlepiej przyjechać i zobaczyć na miejscu.



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

DZIENNIK POLSKI

A

31-082 Kraków, ul. Wielopole 1

wydanie

39 15-02-85

Nr z dn.

26

8

DZIENNIK POLSKI

KRZYSZTOF MIKLASZEWSKI

Z TEATRU

SCENA I ŻYCIE

Te „wieczornicę ku czci” nowohucki Teatr Ludowy przygotował bardzo starannie. Serdecznym oficjalnościom i powitaniami nie było końca, choć wernisaż okolicznościowej wystawy nie tylko swym gwarem przypominał... góralskie wesele. Kiedy bowiem boczną salę teatralnego foyer wypełnił skłębiony tłum ceprów, pośród których — obok oficjeli i skwaszonego przedstawicielstwa środowisk twórczych — wyróżniali się kombatanci i zuchy ze szkolną lilijką, pojawiła się okazała grupa w góralskich strojach. To był właśnie moment, w którym współreżyser i odtwórca roli głównej w części artystycznej powitał Gwiazdę Wieczoru przybyłą ze stolicy.

Z kolei Ona — ubrana w wieszczące nadzieję fioletry, objaśniła wszystkim gościom, którzy — jak zdotały donieść publikatory — „niepomni na dotkliwe mrozy przybyli tu z najdalszych zakątków Polski”, cel zaproszenia zrozumieliliśmy, iż wszyscy spotkali się, by wzajemnie uswiadomić sobie, „dlaczego to winniśmy czcić i kochać Jana Kasprowicza”.

Jednym słowem: tuż przed godz. 19. w sobotę 12 stycznia 1985 roku, staliśmy pośród wystawy „Śladami Kasprowicza”, oczekując podniesienia kurtyny na polskiej prapremierze sztuki „Czas nasturcji”. Autorką zaś obydwu przedsięwzięć, składających się na blisko czterogodzinny seans wspomnieniowy, była znana z „Przekroju” i Telewizji, pol-

ska George Sand — Barbara Wachowicz, która swoim temperamentem i elokwencją szybko zdobywała panowanie nad zaproszonymi.

Ten „wernisażowy monodram” pani Wachowicz sprawił, że martwe kultury premierowe ożyły. Nikt też nie kwapi się do zajmowania miejsc, chociaż — jak straszą bileterzy — nadkomplet. Harcerze biegają po foyer, oficjeli wciągają wystawę, recenzentów zainteresowała zawartość baru, który za burzliwych czasów dyrektora Krygiera przyciągał widzów... koniakiem; górale natomiast, dopieszczani przez autorkę, raz po raz podnoszą wrzawę, podkreślając swą wdzięczną na tym wieczorze obecność. Wreszcie dzieci, które przyszły na świat w tym pierwszym socjalistycznym mieście i nie wiedzą już, co to była Mogiła, starają się za wszelką cenę dotknąć prawdziwego górala. Jednym słowem: „sami swoi, polska szopa”, prawdziwy teatr premiery.

Trzy dzwonki uporczywie dźwięczące w uszach przerywają jednak tę kontemplację, domagając się oglądania udrumatyzowanych „scen z życia Jana Kasprowicza” (taki podtytuł swej teatralnej „wie romancée” nadała pani Wachowicz). Nadzieja, którą wieszczę kolor sukni autorki przedpremierowego show, pryska jednak już w momencie pierwszego spojrzenia na otwartą ku widzowi scenę. Rzut oka na lewe proscenium uświadamia konieczność patrzenia na ganeczek góralskiej chaty tak ohydnie skie-

pionej, iż przypomina ona bardziej rozmierzwioną szopę niewymytego Iba śpiącego w słomie parobka, niż znaną z autopsji sylwetkę podhalańskiej Harendy. Podobnie straszyc będzie wolna przestrzeń sceny, przedzielona wprawdzie trzema ukośnie biegnącymi „ścieżkami”-wybiegami, ale zamknięta orlim skrzydłem z „piórami” z papier-mache.

Prawdziwa tragedia zacznie się jednak dopiero w momencie, kiedy po blackoucie pojawi się złożony niemocą Kasprowicz (Wacław Ulewicz) z czule nadskakującą mu Marusią (Zdzisława Wilkówna), by zapowiedzieć rychle swoje ze światem pożegnanie. Z tego też ganeczku zakutany w pled poeta przywoła całą swoją życiową drogę, a uczyni to w formie symbolicznych scenek, które w swoim fabularnym skrócie stanowiąc mają ersatz na temat kolejnego etapu życia Kasprowicza: a to kłopoty szkolne w systemie pruskiego nauczania, a to lwowska kariera dziennikarska, a to miłość do Jadwigi Gąsowskiej.

Po kilku takich biograficznych wycieczkach, których tekst to collage autentycznych wymyków z listów, pamiętników i spisanych anegdot, akcja szczęśliwie powraca na ganeczek, gdzie aktor grający poetę albo udaje, że tworzy, albo też w poetyckim szczebiocie z Marusią przypomina znane dziatwie szkolnej wierszyki. Na tę teatralną Harendę wracamy zresztą z ulgą, bo struktura wypowiedzianych cytatów zbyt głośno szeleści papierem, a gust inscenizatorów

poraża ekspresjonistycznym kiczem.

Orgie u Przybyszewskiego, którego postać kreuje sam dyrektor Henryk Giżycki czy też bale, w których uczestniczy Marusia, są już rzadko spotykanym na polskich scenach przykładem najgorszego smaku. Widać to zarówno w „niesamowitości” kostiumu, który zaprojektowali również autorzy „szokującej” swą pretenzjonalnością scenografii (Józef Napiórkowski i Ryszard Stobniczki), w aktorskiej interpretacji (aktorzy to skandują, to przeciągają się lubieżnie), jak i w scenicznym ruchu (Bohdan Gluszcak).

Najgorsze jednak triumfuje wtedy, kiedy porzuciwszy swe retrospekcje, Jasiu gościć będzie Poldzia (Siaffa), Lolka (Szymonowski) i Kornelka (Makuszynski) oraz swe doroste w międzyczasie córeczki z małżeństwa z Jadwigą. W tym to momencie wkroczy na Harendę góralskie wesele, w którym członkowie folklorystycznego zespołu „Skalni” miesza się z aktorami. Od tego momentu, który trwa półgodziną „wieczność”, trudno już odróżnić amatora od zawodowca. Wytrzymał ten spektakl do końca tylko... góralska widownia, beztępidnie rozpoznająca... swoich.

Na szczęście na koniec wystąpiła znowu... autorka, chwalać się odznaką... wzorowej uczennicy jednego z liceów imienia Kasprowicza. Szkoda tylko, że jej teatralna klasówka na tej wieczornicy bez końca wypadła tak słabo. Na półroczu zatem Teatr Ludowy zasiadł w... „olej ławie”.



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

FAKTY

85-105 BYDGOSZCZ
Stary Rynek 15/21

wydanie

Nr 8 z dn. 23-02-85

26

Kto ma rację?

W minionym tygodniu prasa polska doniosła o premierze w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie, który przygotował rzecz o Janie Kasproviczu pióra Barbary Wachowicz, ulubienicy niektórych pism, zwłaszcza „damskich”. Znany dziennik podaje, że autorka zgotowała „wielką ucztę” miłośnikom poety. Inny dorzuca opis fety związanej z premierą i wymienia kto zasiadł na widowni. Jedna z recenzentek zachwyca się lekcją polskiego mistrzowsko przygotowaną przez aktorów z Nowej Huty i tym, że ze sceny przemawiają znane postacie literatury, sztuki, kultury. I bodaj tylko „Życie Literackie” wyłamało się z tego zwartego szeregu, piórem Bożeny Winnickiej (Ż. L. nr 4 z 27.I.85), która

Kronika

kulturalna

zatytułowała swoją recenzję: „Gdzieś się ukrył mózgu”.

Winnicka pisze: „Każdy, kto obejrzy „Czas nasturcji”, czyli sceny z życia Jana Kasprovicza” w Teatrze Ludowym, będzie omijał Harendę z daleka. Tekst sklecony niedbale przez Barbarę Wachowicz z utworów i listów poety, dzienników i wypowiedzi ludzi mu współczesnych, daje bowiem obraz zgola przerażający. (...) Rzecz nie zasługiwałaby na większą uwagę, gdyby nie to, że Teatr Ludowy potraktował dzieło Wachowicz ze zdumiewającą powagą i niewybaczalnym rozmachem, nie szzczędząc czasu, pieniędzy i daremnie-go wysiłku aktorów”.



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

KIERUNKI

00-551 Warszawa, ul. Mokatowska Nr 48

wydanie

Nr

z dn.

3-03-85

26 Kasprowicz wśród swoich

KRAKOWSKI Teatr Ludowy w Nowej Hucie, zgodnie ze swą nazwą i powołaniem, dobrze spełnia funkcję teatru popularnego, toteż cieszy się nie małą popularnością. W repertuarze na swej głównej scenie idzie od kilku lat kompletami „Betelem Polskie” Lucjana Rydla, ponadto „Hiob” Karola Wojtyły, „Zemsta” Aleksandra Fredry, „Tańczące zbiegowisko” Tadeusza Kwinty. Na małej scenie „Nurt” realizowany jest repertuar ambitniejszy: „Rozmowy z katem” Kazimierza Moczarskiego, „Bal w operze” Juliana Tuwima, „Raj” Alberto Moravii, „Milczenie” Romana Brandstettera.

Ostatnio popularnemu reperturowi przybył spektakl, który z pewnością będzie lubiany i nieźle frekwentowany. Idzie o „Czas nasturcji” Barbary Wachowicz. Są to sceny z życia Kasprowicza, ułożone chronologicznie, obejmujące wszystkie etapy życia poety, zamknięte nastrojową klamrą rozmowy między poetą a Marusią na werandzie Harendy. A prapremiera przemieniła się w tłumną manifestację, bo zjechali goście niemal z całej Polski: z Białegostoku, Raciborza i Inowrocławia — z liceów im. Kasprowicza, z Opoła, harcerze z poznańskiego hufca imienia poety, harcmistrze z Tarnowa. Przybyli przedstawiciele władz administracyjnych Krakowa, świata kultury i nauki. W góralskich strojach rozsiadła na widowni poronińska rodzina Mardulów-Gałów, u których przed laty Kasprowicz napisał „Księgę ubogich”, a wśród nich syn chrzestny poety, Franciszek, znany ludwisarz. Nie zabrakło też gości z Harendy, Hanny Kogutowej. Pod adresem teatru nadesłano z okazji premiery liczne listy gratulacyjne. Między innymi prof. Konrad Górski wyraził w swej depeszy życzenie, aby „Dusze tych dwojga — Marusi i Jana — przemówiły ze sceny Teatru Ludowego i powiedziały, czym może być prawdziwa miłość.”

W foyer teatru urządzono wystawę „Śladami Kasprowicza” — fotografie Kasprowicza, jego rodziny i przyjaciół, sentencje z jego utworów, fragmenty recenzji, listy do najbliższych. Całość imprezy — otwarcie wystawy i spektakl — poprzedziły słowa powitalne Barbary Wachowicz, gorące, impetyczne, zgrabnie stylizowane podług okoliczności, ludzi i tematu.

A cóż się dzieje na scenie? Rozwija się historia Kasprowicza, wyreżyserowana przez Bohdana Głuszczaka i Wacława Ulewicza, w po-

mysłowo zaprojektowanej scenografii, między Harendą a ruchomym tłem, obrazującym to góry, to chmury (dzieło Józefa Napiórkowskiego i Ryszarda Stobnickiego), z muzyką Andrzeja Zaryckiego i elementami folkloru góralskiego w opracowaniu Andrzeja Haniaczuka, i wreszcie — z towarzyszeniem krakowskiego zespołu góralskiego „Skalni”. Przez blisko trzy godziny pokazują się i znikają postaci ze świata Kasprowicza odtwarzane przez cały zespół aktorski teatru: poeta, trzy jego żony, jego rodzice, nauczyciel gimnazjalny, Stanisław Wyspiański, Stanisław Przybyszewski, Dagny Juel, Tadeusz Żeleński, Wincenty Korab-Brzozowski, Jan Stanisławski, Lucjan Rydel, dziennikarze, córki Kasprowicza, rodzina Buninów, damy, panny, młodzieńcy, Leopold Staff, Kornel Makuszyński, Karol Szymanowski, górale... Scena trzęsie się od tumultu, kręci się, zmienia szybko, płynnie, bo los Kasprowicza rozgrywa się ekscytująco, jest w nim napięcie, walka, dramat, groza, liryzm, ukojenie, uspokojenie. Widownia bije brawo, wzrusza się, cieszy, przeżywa. Bo wszystko odbywa się w kręgu znanych, którzy niczym nie zaskakują, niczego nie obalają, nie bulwersują, ani odkrywaniem swego nowego oblicza, ani trudnych do przyjęcia prawd. Kasprowicz (Wacław Ulewicz) tak oswojony, pomniejszony w sylwetce fizycznej i w sile psychicznej, raz miękki i liryczny, innym na towarzyskim wieczorze autorskim, raz załamany, upada na kolana niczym Hiob (ten sam aktor gra Hioba w sztuce Wojtyły), Marusia (Zdzisława Wilkówna) dziewięcioletnia, rozumiejąca ścisłozna i mądre usmiechnięta. Przybyszewski (Henryk Giżycki) jakby wyskoczył z podręcznikowych obiegowych formułek, płaski, bełkoczący swoje zaklęcia, bezradnie błazeński, bez ościenia tragizmu. Dagny Juel (Jolanta Biela) pobłyskuje w niby demonicznie węzowych ruchach snującej się w somnabulicznym tańcu muzy. Jadwiga Gąsowska (Katarzyna Lis), wdzięcznie rozneglizowana, cała w wielce dramatycznych minach i gestach fatalnej miłości przepada z satanicznym Przybyszewskim w odmęcie nocy. I tak dalej. Razem z owym uobecnionym tłem historyczno-emocjonalno-ludzkim, przystrojonym i przykrojonym na miarę wyobraźni i pamięci tych z obu stron rampy — ci ze sceny i ci z widowni tworzą wspólne widowisko, wibrujące ekscytacjami i oklaskami na tej samej fali wzajemnego obdarowywania się zachwytem. Przedstawienie kończy się radośnie przedłużającymi się owacjami i triumfalnym wbiegnięciem na scenę również pozaaktorskich współtwórców spektaklu i znaczniejszych gości oraz pozostaniem tam wszystkich przez dłuższą chwilę wśród uśmiechów i kwiałów.

K.K.

Teatr Ludowy w Krakowie: „Czas nasturcji” Barbary Wachowicz. Reżyseria: Bohdan Głuszczak i Wacław Ulewicz. Scenografia: Józef Napiórkowski i Ryszard Stobnicki, muzyka: Andrzej Zarycki. Premiera — styczeń 1985 r.

26

Na scenie harndziańska weranda, a w głębi zarysy szczytów górskich. Dziwne to szczyty, gdyż w pewnych momentach akcji przybierają kształt żagli okrętowych, stają się metaforyczne i wieloznaczne. Na werandzie siedzi człowiek, który dochodzi kresu swoich dni, Jan Kasprowicz, a przed jego oczami jak w kalejdoskopie, ukazują się sceny, które przywołuje z pamięci, które prowokują sytuację dni codziennych spędzanych tutaj w szczęściu, ale jednocześnie w ciągłym przeżuciu śmierci.

Autorką *Scen z życia Jana Kasprowicza* jest Barbara Wachowicz. Nie trzeba jej przedstawiać, ale warto zwrócić uwagę na chroniczną chorobę polskości i wiarę tej autorki w propagowanie postaw pozytywnych, wiarę w twórczość Mickiewicza, którego szlakami chodziła w latach ubiegłych, wiarę w twórczość Zeromskiego, Conrada, wdzięczność dla Kościuszki i bohaterów z „Szarych Szeregów”.

Barbara Wachowicz głosiła tę wiarę zanim jeszcze zostały rozdane nominacje na patriotów, przed rozdaniem znaczonych kart do gry o polskość przez neofitów tej sprawy. Z tą swoją wiarą w wychowawczą rolę literatury szła Barbara Wachowicz posługując się różnymi mediami, pisała reportaże i całe książki, głosiła ją w radiu i telewizji, propagowała na spotkaniach autorskich. Barbara Wachowicz ceni sobie literaturę, która podnosi ważne problemy wprost, bez wyszydzenia, robienia min. Dlatego bliski jest jej Kasprowicz, a obmierzył Przybyszewski. Wydaje mi się, ale to już piszę na własne ryzyko, że Przybyszewski jest dla Barbary Wachowicz prekursorem postaw, które rozwinęły się w twórczości Witkacego, Gombrowicza, Mrożka. Oczywiście nie insynuuję, że Barbara Wachowicz uważa tych pisarzy za grafomanów i kabotyńców na wzór i podobieństwo Stacha z Kujaw.

Oczywiście, nie chciałbym upraszczać sprawy, ale nie ulega wątpliwości, że Barbara Wachowicz jest dziś jedną z nielicznych osób, która wierzy w oddziaływanie literatury na postawy ludzkie i robi wszystko, aby postawy te kształtować. Tym razem posłużyła się Kasprowiczem. Wydobyla jego cechy szlachetne, umiłowanie ojczyzny, miłość do ziemi i miłość do ludzi, wrażliwość na nędzę ludzką

„Kasprowicz” Barbary Wachowicz

Andrzej Matynia

demonstrowaną w literaturze i życiu, wreszcie miłość do żony, którą Barbara Wachowicz miała szczęście znać i pod której przemożnym urokiem pozostaje do dziś. Przechowuje jak najcenniejsze skarby te kilka listów od Marusi, które nie zostały jej ukradzione. „Spróbuj u nas kiedyś zamieszkać. Chciał kilka dni. By jeszcze lepiej poznać i przeżyć Harendę — w tej codzienności, która — kto wie — może wcale codziennością nie jest?”.

Barbara Wachowicz „przeżyła” Harendę i dała tego dowód. Popeliła wszak kilka błędów. Pierwszym i najpoważniejszym jest to, że wyraziła zgodę na usunięcie ze swojej misternie nanizanej kompozycji tekstów autentycznych sceny z *Marchotta grubego a spróśnego*. Scena ta wnosila do drugiej części utworu tematykę polityczną, troskę Kasprowicza o państwo. Dwór, owi radcy i ministrowie i prosty, z chłopia król, Marchoit, intrygi, których zrozumieć nie chce i nie może — to wszystko nie narodziło się w umyśle Kasprowicza jako figura abstrakcyjna. Barbara Wachowicz zgadzając się na usunięcie sceny z *Marchotta* znacznie uprościła tę problematykę pozwalając na scenie zapanować nadmiarowi żywiołu góralszczyzny. Zerwała jednocześnie z bardzo precyzyjnie prowadzoną w pierwszej części zasadą kompozycyjną. To zarzut najpoważniejszy.

W porównaniu z tym inne są już jedynie zarzutami marginalnymi. Tak więc niefortunny wydaje się chwyt zastosowany w scenie bału u Buninych. Marusia powtarza tam kilkakrotnie w różnych językach to samo zdanie, na podobne zadane pytanie przez różnojęzycznych

adoratorów. Rozumiem, że autorce zależało na tym, aby pokazać, że Maria z Buninych była kobietą wszechstronnie wykształconą, ale

w tej formie dialog nabiera cech humorystycznych.

Także tytuł owych *Scen z życia Jana Kasprowicza* wydaje mi się

pretensjonalny i spłaszczający bogactwo tematyki zawartej w utworze Barbary Wachowicz.

Czas nasturcji wystawiony został w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie. Dobrze się stało, że artyści uwierzyli Kasprowiczowi i Barbarze Wachowicz. Powstał bowiem spektakl dobry. W dużej mierze jest to zapewne zasługą Bohdana Głuszcza, który świetnie rozwiązał ruch sceniczny, jak również Waclawa Ulewicza, (Kasprowicza), który zadbał o to, aby koledy w innych rolach podawali te autentyczne teksty, w wielu wypadkach wiersze poety, w sposób naturalny, nie wyrwali ich z całej tkanki przedstawienia, nie recytowali jak na akademii. Powstały postacie zarysowane krwioscie. Ulewicz gra, zgodnie z życzeniem autorki, człowieka schorowanego, znajdującego się pod ciągłą opieką Marusi. Marusia ota-

cza go opieką czujną, ale delikatną, tak jak wspomina tę opiekę Antoni Słonimski. Marusia — (Zdzisława Wilkówna) jest poza tym uderzająco podobna do postaci autentycznej Marusi, jeżeli oczywiście wierzyć przekazom literackim. Tu od razu warto powiedzieć, że realizatorzy nie tylko w tym wypadku zadbał o maksymalne podobieństwo osób dramatu do postaci rzeczywistych. Waclaw Ulewicz miał zadanie niezwykle trudne, gdyż jest on jednocześnie narratorem, w niektórych scenach bierze udział, innym się jedynie przygląda.

Niezwykle ciekawą postacią Przybyszewskiego stworzył Henryk Giżycki. Przyznać muszę, że mam ogromny sentyment do Przybyszewskiego nie dla jego twórczości grafomańskiej i kabotyńskiej, ale dla osobowości, która potrafiła teatralizować życie poprzez słynne improwizacje szopenowskie, posługując się licznymi kobietami, z których Dagny Juell była tyle śmieszna (co zostało w spektaklu), co tragiczna (co nie zostało pokazane).

Giżycki pokazał całe kabotyństwo Przybyszewskiego unikając wszakże szarży, przejawskawień. Opracował rolę finezyjnie aż po ludzką charakteryzację.

W spektaklu bierze udział cały zespół teatru i cały zespół rzetelnie wykonuje działania sceniczne dając tym dowód rzadko dziś spotykanej wspólnoty w grze zespołowej. Dwukrotnie w spektaklu pojawiają się dzieci, a właściwie młodzież trzynasto-piętnastoletnia. Grają gimnazjalistów, w tym młodego Kasprowicza i Makuszyńskiego. Przeważnie nie mamy szczęścia do młodocianych w filmie i w teatrze, grają nienaturalnie lub mizdrzą się niepotrzebnie. Tym razem zupełnie inaczej. Grają jak w amerykańskich filmach, tak jakby nie grali, a byli owymi gimnazjalistami. To również zasługa reżyserów, no i oczywiście młodzieży.



„Czas nasturcji” — scena zbiorowa, na pierwszym planie Waclaw Ulewicz.

Fot. Zbigniew Łagocki

Teatr Ludowy w Nowej Hucie. „Czas nasturcji. Sceny z życia Jana Kasprowicza” Barbary Wachowicz. Reżyseria: Bohdan Głuszcza, Waclaw Ulewicz. Scenografia: Józef Napiórkowski, Ryszard Stobnicki. Muzyka: Andrzej Zarycki. Premiera 12 stycznia 1985.

Spektaklom towarzyszy arcyciekawa wystawa fotografii dokumentująca życie Jana Kasprowicza i jego czasy, zrealizowana według scenariusza Wiesławy Piotrowskiej-Jaskółczyńskiej oraz rzetelnie i pięknie wydany program.



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

GAZETA KRAKOWSKA

31-072 Kraków
ul. Wielopole Nr 1

wydanie
6 3 1 5 -03- 85
Nr z dn.

26

Obejrzałem ostatnio w Teatrze Ludowym „Czas nasturcji” Barbary Wachowicz. Wzruszyłem się kilka razy, dom człek powierzchowny. Przedstawienie mi się podobało, dom człek płytki. Widzom też. Stali przez siedem minut i bili brawo. Recenzentem nie jestem, na teatrze się nie znam. Ale widziałem w życiu lepsze przedstawienia, „Czas nasturcji” za rewelację uznać trudno. Niemniej z tego życiorysu Jana Kasprowicza w scenicznych obrazach tchnęło czymś bardzo polskim, czymś bliskim. Muszę nawet po cichu się przyznać, że w życiu bardziej mi potrzebna wzruszająca poezja Kasprowicza niż na przykład filozofia zbrodni u obsesyjnego epileptyka Dostojewskiego. Wiem, że to przedstawienie będzie się cieszyć popularnością, ponieważ w r u s z a, uczy i uwróżliwia na polskie słowo, polski los i polski pejzaż.

Pierwszą pozytywną recenzję z „Czasu nasturcji” przeczytałem w „Tu i Teraz”. We wszystkich krakowskich piśmie spektakl, delikatnie mówiąc, zerżnięto, nie znajdując w nim ani odrobiny dobrej roboty dramaturgicznej, teatralnej, ideowej. Nasi krakowscy recenzenci nie są sensoryczni. Są bardzo obiektywni. Szczególnie wobec Teatru Ludowego. Czemu? Myślę, że u nas w Krakowie obowiązuje jedna linia krytyki. Krytyki dla krytyki. Jeszcze mi się nie udało spotkać tu recenzenta, który podjąłby się analizy przedstawienia, mając na uwadze interes publiczności. Więc albo jest to filologiczny bełkot albo ogólne chlastanie. Widz po przeczytaniu takich opinii nadal nie wie, czy warto przedstawienie zobaczyć, a tym bardziej o czym ono jest. Krytyka służy tylko utajemniczonym. Bo nawet nie ludziom teatru, którzy — raz lepiej, raz gorzej — robią swoje.

Skąd się wziął ten zgodny recenzencki chórek? Mogę tylko przypuszczać. Z krakowskich temacików tabu. Przecież Teatr Ludowy — to endeckie okopy. To się zaczęło od dyrektury Filipskiego. (Sza-sza, po Krakówku, tam Żydów jedzą.) Nowy dyrektor, Henryk Giżycki — to też paczka Filipskiego. I co teraz oni wystawiają? — rzecz o Kasprowiczu, który miał w życiu okres endeckich sympatii. Rzecz pióra Barbary Wachowicz, która z uporem

maniaczki zbiera pamiątki i szczegóły biografii Zeromskiego, Sienkiewicza, a ostatnio — syna chłopskiego z Kujaw — Kasprowicza. Niezła mieszanka jak na temat tabu nieprawdaż?

Oczywiście jest to niesmaczny żart. Proszę o wybaczenie, ale nie zmienia to faktu, że jak w Krakówku komuś przyklepi się etykietkę, to jedynie zmiana wyznania lub orientacji politycznej zedrzczyć ją może. Aby oddać miejsce pod nową. W Warszawie wszystko jest proste. Tam w środowiskach artystycznych i intelektualnych chodzi o

Krakowskie tabu

dwie rzeczy — o szmal i kariery. Kto da więcej. I tak po obu stronach barykady są „nasi”. A w Krakówku nie! To miasto jest ponad przyziemne wartości. Pełno tu męczenników, proroków i wyroczni. Tego nie tykaj, bo go zgnoił reżim. Tego tym bardziej, bo kazania prawi w kościele, chociaż zupełnie inny kościół mógłby się do niego przyznać. Tego... o, tego na pewno nie, przynajmniej nie teraz, może później, jak dostanie kopa w dół. Tylko mędrzy w tym mieście robią swoje i nigdy nie wychodzą na jarmarczne placzki kawiarni, klubów, zakrystii, redakcji, domów otwartych, teatrów...

Na szczęście zwykłego człowieka (poza chorymi snobami) ta obśliniona otoczka mało obchodzi. W gazecie szuka prawdy, w teatrze — wzruszeń i rozrywkę, na obrazie — piękna, w życiu — otwartej gry. Ploteczki typu: co zdjęli

Wajdzie? który z aktorów chałturzy w kościele? który pisarz jest antysemitą? która artystka ma jakoweś zбочzenie? kto przychodzi do „Kuźnicy” a kto „Pod Baranym”? — istnieją jedynie w owym opiniotwórczym, etykietkowym Krakówku. Przyznaję, sam się nie raz nastucham rozmaitego bicia piany, tych personalnych typowań i kalkulacji, ale staram się mieć do tego dystans. Nie obstawiam żadnego z koni, które gotowią się do wyścigu. W końcu po biegu zawsze się może okazać, że straciłem pieniądze i nerwy, a wygrał ten ogier, który musiał wygrać. Wydaje mi się, że wszelkie tematy tabu (nie tylko krakowskie) podawane pocztą pantoflową, te personalne rozgrywki i etykietkowanie ludzi z wozu i pod wozem — służą odwracaniu uwagi od spraw merytorycznych, zasadniczych, dla naszych losów najważniejszych. Żeby rozmydlić, rozpylić, rozmemlać uwagę ową.

Zresztą, był taki artysta, geniusz, postać z pierwszej dziesiątki wielkich Polaków (a może z pierwszej trójki) — Stanisław Wyspiański. Jako reformator teatru — pierwszy w Europie, jako malarz — lepszy od kilku do kupy wziętych impresjonistów francuskich. Wybrał COS, co mu było najbliższe. Dziś nasi świecznikowi artyści narzekają, że poza Polakami nikt nie jest w stanie pojąć „Wesela”. I mają mu to za złe. To właśnie Wyspiański napisał, że kocha Kraków, bo nie od kamieni przykrości zasnął...

A zatem, nie bacząc na wrażliwość krytyków, na tematy tabu — proszę pospieszyć na interesujące spotkanie z Kasprowiczem i jego poezją. Albo nie. Wolny wybór. Z własnej woli i gustu. Bez sugestii panów inżynierów dusz...

HENRYK CYGANIK

„Bardzo lubię chodzić do teatru, ale z taką atmosferą na widowni nigdy się nie spotkałam... Sztuka była wspaniała!”

„Na Harendzie byłam wiele razy i będę tam powracać o ileż bogatsza po obejrzeniu spektaklu... Myślę, że gdyby takich biografii — teatralnych czy filmowych, było więcej, to poznając naszych przodków zmniejszylibyśmy groźbę pozostania „glupimi partolami”, wierząc, że warto żyć i pracować...”

POCZTA codziennie przynosi takie listy. W Krakowie burza. Teatr Ludowy rozpoczął rok swojego 30-lecia przedstawieniem, które poruszyło uśpione emocje, prapremierą sztuki „Czas nasturcji” Barbary Wachowicz, z podtytułem, który wyjaśnia wszystko: „Sceny z życia Jana Kasprowicza”.

I jest Harenda, cudowny, księżykowy wieczór. „Siedzimy z Jankiem na werandzie... Cicho zupełnie, tylko nieustanny szum potoku...”

I jest tak, jak pisała Marusia Kasprowiczowa: w tle nagie turnie (metaforyczna scenografia Józefa Napiórkowskiego i Ryszarda Stopajckiego) i „Janek mówi: ach jak tu dobrze, chwilami boję się swego



Fot. Zbigniew Łagocki

Polski dom Barbary Wachowicz

Teatr w poszukiwaniu sedna

sześciu”. Poeta Jan, u kresu swoich dni, w upalny wieczór 1926 roku, kiedy kwitną ukochane nasturcje, przywołuje z pamięci swoje młode lata, nie sielskie, naznaczone pruskim drylem i patriotycznym protestem, wspomina umiłowaną Matkę — chłopkę z Kujaw, Lwów i dziennikarkę, Kraków i bohemę, zdarzenia i przyjaciół, czas i sprawy — miłość wszechmocną do tej ziemi, tych ludzi: „Rozmawiała się ma dusza...”

BARBARA Wachowicz, nie od dziś przecież znana ze swych pasji pisarskich, wiodących tropami tego, co arcy-polskie, napisała obrazy dla sceny, złożone z życiorysu Jana Kasprowicza, nizane ze słów, wydobytych z korespondencji, wierszy, tomów wspomnień, literatury epoki. Teatr ten walor autentyzmu podkreślił jeszcze, obsadzając aktorów tak, by z twarzy i postaci

nawet byli rozpoznawalni na pierwszy rzut oka.

Boy, Wyspiański, Rydel, Sierostawski, Dagny Przybyszewska, Korab-Brzozowski — i nade wszystko Stanisław Przybyszewski w brawurowym rysunku Henryka Giżyckiego. Potem jeszcze Makuszyński, Staff, Szymanowski, śliczna jak z portretu Witkacego Marusia w delikatnej kresce Zdzisławy Wilkówny.

Sam Kasprowicz, Osaczony chorobą, wsluchany w echo życia, stłumiony, ale ciągle jeszcze żarliwy, gdy mowa o rzeczach wielkich — gdy rodzi się „Hymn”. Ta kulminacja I części nowohuckiego przedstawienia zapada na długo w pamięć. Wacław Ulewicz w roli poety Jana zdany na szlachetny umiar, recytujący strofy „Hymnu”, stwarza prawdziwą kreację.

Tym większa satysfakcja, że Bogdan Głuszczyk, obok Ulewicza współautor spektaklu, robi wszystko, aby tę szlachetną prostotę zmyć nieokielznanymi pomysłami inscenizacyjnymi rodem z jego olsztyńskiej Pantomimy. Szczęściem trwa to nie długo. Zaś słowo pozostaje siłą tego przedstawienia. Aktorzy potrafią mówić wiersz jasno i klarownie. Wiele strof zgrabnie rozpisano na głosy, co jest udanym pomysłem. Można tego wieczoru nasłuchać się polszczyzny.

DRUGA część innemu podlega rytmowi, to już nie retrospekcja, to dzień ostatni, ostatni goście, ostatnie chwile na Harendzie. Dobry duch Maruski i góralska kapela. Serdeczność bliskich i przyjaciół, rozmowy o życiu, o sztuce. Wiele głębokich refleksji, choćby to słynne credo Szymanowskiego: „Každy artysta... jeśli wyprze się przodków lub ich nie zna, to pomimo największego nawet talentu

będzie w najlepszym razie głupim partolą...”

Naszych przodków, wielkich przodków przypomina nam tego wieczoru teatr. Przypomina nasz dom, polski dom serdeczny, którego nigdy w teatrze dość, bo jest sednem. Pokazać go bez wielkich słów, za to z wielkim uczuciem — to obowiązek sztuki. Teatr Ludowy osiągnął ten cel.

I w Teatrze Ludowym mówi się o tym wieczorami. Dyskusja prawie dwugodzinna (!), po owocji na stojąco:

... To nie tylko młodzież powinna oglądać, przede wszystkim nauczyciele... Słuchajcie głosu widza, jestem z rynku krakowskiego, a tu przyjeżdżam, bo my widzowie potrzebujemy, aby ze sceny mówiono o ojczyźnie, skromnie i pokrzepiająco... Dużo ludzi bywa w tym teatrze, nie ma pustych krzeseł, tu nas nie karmia smutkiem i beznadziejnością... Dziś spotkało nas to, co narodowe najgłębiej... Bo jest tak, jak pisał Kasprowicz „Bo dziś ludziom więcej serca trzeba niż białego chleba”...

Słucham tej dyskusji obok jednej z cichych bohaterki „Czasu nasturcji” i tamtego czasu. Pani Antonina Kuźma, ostatnia gosposia na Harendzie, także została przez Barbarę Wachowicz uczyniona osobą dramatu. Przynosi pek nasturcji, jak to było w życiu. A teraz już na rencie, żyje zwyczajnie, bez Harendy, w bloku.

— Tak było — powiada — zupełnie tak, jak to pani Wachowicz napisała. Ona zna Harendę, była u nas. Wszystko było tak właśnie, serdecznie i po polsku. Pochodzę tam sobie czasem, wieczorem, jak jest cicho, zaglądam w okna...

Dobrze, że teatr też tam zagląda.

Za i przeciw

00-580 Warszawa
ul. Marszałkowska Nr 4

wydanie
1 8 - 5 - 05 - 05

Nr z dn.

26

Na teatralnych rozdrożach czyli

„Czas nasturcji”

Nie bez pewnego zamysłu tytuł ten nawiązuje do znanego (i ongi często granego) dramatu Jerzego Zawieyskiego.

Oto bowiem dylematy współczesnej sceny polskiej: brak nam, czy też nie brak dramatu rodzimego, a repertuar eksponowany w tym sezonie ukazuje, czy też nie – pełne bogactwo i możliwości naszej klasycznej i nie tylko – dramaturgii?

Skąd takie, wydawałoby się retoryczne pytanie? Przecież przeżywamy właśnie na scenie obfity „rok Witkacego”, renesans Gombrowicza, utrzymują się też w stałym repertuarze Różewicz, Mrozek, Iredyński. Z klasyki obecny jest (na szczęście) Fredro, Mickiewicz, Stowacki.

A jednak narzekania krytyków, że nie wszystko jest tu w porządku – i to narzekania powtarzające się od lat – są absolutnie zasadne. Dlaczego np. teatry nie sięgają chociażby (lub bardzo rzadko) po sztuki tak interesujących autorów jak Morstin, H. J. Rostworowski, Szaniawski, Zawieyski, Brandstaetter? Dlaczego tak mało przybywa nazwisk dramaturgów młodszych pokoleń?

Ostatnio do tych wszystkich pytań mnożących się wokół teatru, przybyło jeszcze jedno. Krytycy odnotowują wzrastającą ilość wszelakiego typu adaptacji scenicznych.

Adaptacja w teatrze zawsze niepokoiła, zawsze jawiła się jako osobny problem. Mówiono – i nie bez racji, że teatr powinien przede wszystkim pozostać wierny oryginalnemu dramatowi.

Dałoby się wymienić też kilku inscenizatorów, którzy „wyspecjalizowali” się w scenicznych przeróbkach – konsekwentnie prezentując adaptacje prozy i poezji polskiej i obcej na deskach teatrów. Argumentem przemawiającym za ich wyborem było może przekonanie, że powieść jest bliższa życiu? a może fakt, że chcą (jak określił Konstanty Puzyra), „wyzwolić się z niewoli dramatu”? Sięgano więc po Prusa i Mickiewicza, Andrzejewskiego i Iwaszkiewicza, Bułhakowa i Żeromskiego (powieściopisarzy). Część krytyków wskazując na wybitne osiągnięcia adaptacyjne, które pojawiały się na naszych scenach (wystarczy tu przypomnieć choćby „Norwida” A. Hanuszkiewicza w Teatrze Narodowym) broniła tej tendencji, powołując się na wychowawcze i wzbogacające, „przyciągające” do obszarów literacko-teatralnych walory, zwłaszcza dla widza młodego.

Trzeba tu wyraźnie powiedzieć, nie wchodząc głębiej w ten spór, że chyba źle się dzieje, jeśli adaptacje wypełniają scenę kosztem dramatu. Zwłaszcza, jeśli są „mierzeniem sił na zamiary”. Obejrzałam niedawno spektakl Teatru Ludowego w Nowej Hucie pt. „Czas nasturcji” – pióra Barbary Wachowicz. Nie taję swego uznania dla tej pisarki, cenię jej rzetelną wiedzę merytoryczną, a także entuzjastyczną pasję, z jaką oddaje się każdej podejmowanej tematyce.

Tym razem, jak sugerowały imprezy towarzyszące (wystawa w foyer, afisz i



Aktorzy, kreujący główne role – Wacław Ulewicz (Kasprowicz) i Zdzisława Wilkówna (Mariusia) – prezentują nie tylko dobry warsztat, ale są i fizycznie podobni...

Fot.: Zbigniew Łagocki

tytuł) rzecz dotyczyła Jana Kasprowicza. Spodziewałam się, prawdę mówiąc, sztuki o tym poecie, sensu stricto dramatu osnutego na tle jego bogatego życia. Ale – jak uświadomił mnie program – były to „sceny z życia Kasprowicza”.

Wydaje się, że Barbara Wachowicz, przy całej swej gigantycznej pracy nad tematem, nie ma wycucia teatru. Ogromną wiedzę (właśnie wiedzę bibliograficzną) o poecie chce widzowi przekazać dostownie. Mamy więc i wiersze Kasprowicza, i fragmenty dzienników jego żony, i opinie współczesnych, i wydarzenia z życia – opowiedziane cytatami. Każdy cytat – kwestię, wygłasza inny aktor, kreujący odpowiednią postać z otoczenia poety. Od niemowlęctwa – do śmierci. W sumie przez scenę przewija się 64 osoby (nie licząc statystów). Może to przyprawić o zawrót głowy!

Mimo to, Bohdan Głuszczyk (reżyser) radzi sobie, operując zgrabnie kilkoma planami, również scenograf. (Józef Napiórkowski) wychodzi obronną ręką z trudnego zadania. Aktorzy kreujący główne role, a więc Kasprowicz – Wacław Ulewicz, Mariusia – Zdzisława Wilkówna, są nie tylko dobrzy w interpretacji postaci, ale także fizycznie podobni.

Na korzyść tego widowiska przemawia jego wartość poznawcza. Świadczą też dobrze reakcje młodocianej (w dużym procencie) widowni na prapremierze. Nie zdarzyło mi się słyszeć równie gorącego aplauzu młodzieży, jak wówczas, gdy Wacław Ulewicz recytował Kasprowiczowe „Rzadko na moich wargach”. A więc dydaktyka patriotyczna! Ale przedstawienie – niestety – nie broni się samo. Tworzywo jego nadaje się raczej na słuchowisko; scenariusz filmowy, może powieść biograficzną? Bo scenicznej próby ta adaptacja nie wytrzymała. Widz pozostaje pod urokiem fin de siecle’u, pachną mu secesyjne nasturcje, rozrzewnia młodopolską maniera – ale czy o to chodzi?

MARIA MACHOWSKA

26



Scena zbiorowa. Na pierwszym planie Waclaw Ulewicz (Jan Kasprowicz)

Sceny z życia poety

KRZYSZTOF SIELICKI

Teatr Ludowy w Nowej Hucie: CZAS NASTURCJI Barbary Wachowicz. Reżyseria: Bohdan Głuszcak i Waclaw Ulewicz, scenografia: Józef Napiórkowski i Ryszard Stobnicki, ruch sceniczny: Bohdan Głuszcak, muzyka: Andrzej Zarycki. Premiera 12 I 1985 (fot. Zbigniew Lagocki)

To już trzecie w ostatnich miesiącach przedstawienie poświęcone wybitnej postaci z historii naszej literatury. Teatr w Radomiu pragnął przybliżyć widzom spuściznę Jana Kochanowskiego. Teatry w Częstochowie i Ochoty prezentowały *Kruczkowskiego* wedle scenariusza Machulskiego, a w styczniu z *Czasem nasturcji* Barbary Wachowicz wystąpił nowohucki Teatr Ludowy. Tym razem rzecz była o dziele, życiu i legendzie Jana Kasprowicza.

Zadne z tych przedstawień nie stało się wydarzeniem artystycznym, spotykały je raczej rozmaite kaśliwości krytyczne. I nawet jeśli powodzenie kasowe tych spektakli spowodowane jest głównie zrozumiałym zainteresowaniem nauczycieli i szkół, nie zmienia to faktu, że naprawdę wielu młodych widzów styka się z teatrem, który przemawia do nich z inną, niż codzienna, intencją.

Teatr dzisiejszy stracił wiele ze swych starych i niegdyś popularnych form. Pomiedzy owe straty włożyć trzeba także i umiejętność budowania przez aktorów i reżysera obrazka historycznego czy fabularyzowanego wykładu dziejów ojczystych. Utwory Anczyca i innych harmonijnie łączyły ówczesne możliwości teatralne z potrzebami i — jeśli tak można powiedzieć — umiejętnościami odbiorczymi widzów. Pytanie — czy uda się dziś wskrzesić bez strat artystycznych ów stary schemat?

Barbara Wachowicz od lat popularyzuje pomnikowe nazwiska naszej literatury, wychodząc ze słusznego założenia, że społeczna wiedza o twórcach tych jest niewielka. W scenariuszach i książkach autorka splota w jedno życiorys bohatera, jego twórczość, tło historyczne, siebie jako postać przewodnika wiodącego poprzez zdarzenia. Celem zaś nie jest jedynie dokumentowanie prawdy

historycznej, lecz także wywołanie emocjonalnego kontaktu widza lub czytelnika z postacią, z czasem, z atmosferą epoki. A tak właśnie, na podobnej zasadzie, istniał obrazek historyczny ku pokrzepieniu i nauczaniu prezentowany na scenach, w Krakowie także.

Dzisiejsze przedstawienie w Nowej Hucie opowiada o zapomnianym powoli Janie Kasprowiczu. Fabularnie — jest to zbiór retrospekcji wywołanych przez bohatera. Oto widzimy poetę u schyłku życia, gdy na Harendzie, pod czułą opieką Marusi, przyjmując odwiedziny starych przyjaciół, dokonuje obrachunku swego życia.

Pomysł nie jest oczywiście zbyt oryginalny, ale pomocny w ukazywaniu wybranych faktów biografii artysty, fragmentów jego dzieł, podmalowaniu tzw. tła. Prawdziwy jednak kłopot rodzi się z chwilą, gdy pomysł ów zmateriałizować się ma w postaci teatralnego scenariusza, czyli po prostu sztuki do grania. Autorka postawiła przed sobą trudność jeszcze jedną — każde słowo padające ze sceny pochodzi z udokumentowanego źródła, a razem mają zbudować psychologicznie uzasadnione portrety

ludzkie. Doświadczenie uczy, że jest to zadanie niemal niemożliwe do pomyślnego artystycznie wykonania.

Kogo widzimy na scenie? Przybyszewskiego, oczywiście Dagny, Wyspiańskiego, Rydla, Boya, Makuszyńskiego (jako chłopca i dojrzałego twórcę), Staffa, Szymanowskiego, nawet Bartusia Obrochtę... Nie, po prostu nie da się napisać sztuki, w której wszyscy ci ludzie znani z podręczników, nazw ulic i pomników mogliby przekonująco dialogować na scenie, uzasadniając i komentując dramat życia głównego bohatera, odsłaniając mechanizmy jego twórczości.

Reżyserzy widowiska — Bohdan Głuszcak i Waclaw Ulewicz słusznie postanowili przedstawić tak skomponowany scenariusz w postaci szeregu obrazów mniej lub bardziej skrótowych i w pomysł, i w sposobie teatralnej realizacji. Scenografia Józefa Napiórkowskiego i Ryszarda Stobnickiego kieruje naszą wyobraźnię w sferę poetyckiego uogólnienia. Ciemna scena, majaczące pod horyzontem wielkie bryły, które mogą być i Tatrami, i „żaglami poezji”, przed nimi obrotówka wywołująca jakby z nicności kolejne postaci, z lewej zaś strony proscenium — stylizowana Harenda, w której zaczyna się akcja i często do niej wraca: to centrum świata realnego.

Gdyby jednak Głuszcak, znany przecież głównie z metaforycznych widowisk Pantomimy Olsztyńskiej, uznał konsekwentną stylizację, a nawet przestylizowanie każdej sceny, za sedno własnych zabiegów inscenizatorskich, powstać mogłaby całość spójna artystycznie. To zaś, co roztacza się przed oczyma widza, jest dziwnym montażem powieści biograficznej, nawet wykładu, z sekwencjami wizyjnymi (wywoływanyymi głównie jako ilustracje recytowanych wierszy). Wykłada się więc dzieje chłopskiego syna, który pracą, talentem i oddaniem Polsce wszedł na Olimp narodowej kultury. Pokazuje się młodopolski Kraków. Patrzymy na sentymentalną w teatralnym wydaniu historię mało udanego osobistego życia poety. Ale jak połączyć fantasmagorię z wykładem? Najtrudniejsze zadanie mają — jak zwykle — aktorzy.

Grający główną rolę Waclaw Ulewicz znalazł trafny sposób, by nie utożsamiając się wedle manieri naturalistycznej z bohaterem, opowiedzieć o nim: nie o domniemanych reakcjach, lecz o treści jego myślenia. Aktor pięknie — bo skromnie — recytuje poezje Kasprowicza, ale też staje się bardziej rezonerem niż postacią sceniczną. Pełną postać Przybyszewskiego zbudował za to Henryk Giżycki. Po prostu materiał tekstowy był tu najbardziej dramatyczny, gorący. Dlatego też dość nieoczekiwanie sceny między Przybyszewskim a Jadwigą (Katarzyna Lis) stają się bardzo ważne w tym przedstawieniu, w którym aktorzy pełnią najciekawszą rolę ilustracyjną. Druga część zamienia się zresztą w swoisty żywy obraz przekazujący słowa, myśli, nawet wrażenia wizualne (tańczący i śpiewający górale), ale nie teatralny dramat. *Czas nasturcji* zrodził się oczywiście z wieloletnich związków autorki z Harendą, z rodziną poety, z legendą jego twórczości

ci i życia. Jest pisany emocją i zawiera pragnienie, by inni równie silnie zapalili się do tematu. Trudno jednak po dwu godzinach spędzonych w sali pełnej słów jasno odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Kasprowicz wymaga dziś tak specjalnego przypominania? Oczywiście trywializuję sprawę. Ale poza pięknym rysem obywatelskiej postawy poety, dostrzegając trzeba teatru, jego prawa, potrzeby, ukryte głęboko możliwości artystyczne, które wydobyte na scenę, każą widzowi bez wahania powiedzieć: oczywiście, w życiu Kasprowicza leży tak wielki ładunek dramatyizmu, że tylko scena może unaocznic w pełni jego siłę.

Pamiętać jednak trzeba, że przedstawienie to spełnia zadania lekcji popularyzatorskiej. Opuszcza więc w pewien sposób domenę teatru, a staje się przejawem nie do końca określonych potrzeb i konieczności bieżącego życia teatralnego, o jakich pisalem na początku.

Poruszenie, które w teatralnym Krakowie wywołał dość nieoczekiwane *Czas nasturcji*, może być potraktowane jako jeszcze jeden przejaw teatralnej międzyepoki, w której żyjemy. Gdyby scenariusz stał się widowiskiem telewizyjnym, podkreślano by niewątpliwie jego zalety edukacyjne.

Od teatru wymagamy dziś innego rodzaju artystycznego wypełnienia tematu. Ale kto wymaga? W pospektaklowej dyskusji kilkakrotnie padało zdanie, że teatr powinien być dla zwykłych ludzi. A więc potwierdzać raczej to, co wspólne, znane i święte, niż — idąc za wskazaniem Norwida — pobudzać do opuszczania utartych kolein myślenia o sobie i świecie. Staram się zrozumieć podobne postawy. Stykam się z nimi bardzo często jeżdżąc od lat po kraju jako notoryczny prelegent. Ale stan wzajemnego niezrozumienia między twórczym teatrem, artystami w pełni świadomymi możliwościami sceny, a widzami, którym starcza za prawdziwe przeżycie (piszę bez najmniejszej ironii) kilka słów o Polsce — jest dramatycznie niepokojące.

Duży, widoczny, uczciwy wysiłek całego zespołu Teatru Ludowego, by w scenicznym plakacie połączyć możliwie wiele oczekiwań teatralnych, jest wymownym przykładem całkowitego zamazania społecznego miejsca dzisiejszego teatru. Ze spektaklu tego będzie oczywiście zadowolony nauczyciel polonista. Krytyk może rozłożyć ręce — bo cóż to za teatr? Miłośnik poezji odnajdzie kilka pięknie wypowiedzianych strof, wychowawca młodzieży przykłaśnie wyłożonym wprost treściom patriotycznym. A rasowy inscenizator wzruszy tylko ramionami. Każdy znajdzie więc tu coś dla siebie? Nie jestem pewien.

Niepokój spowodowany znacznym rozmijaniem się intencji twórców z funkcjonującym przecież jako tako systemem ocen dzieł teatralnych, odsyła do pytań jeszcze innych, najważniejszych dla społecznego życia teatru. Twórcy spektaklu nowohuckiego mają jasny obraz tego, dla kogo i po co przygotowali rzecz o Kasprowiczu. Wypada im tylko zazdrościć, że opuścili marnopoczące rozterek.



redakcji

PAMIĘCI MARIANA BATKI

Redakcja Tygodnika
„Przekrój”.

Uprzejmie zawiadamiamy, że w dniu 23 kwietnia br. w czasie Dzielnicowego Zgromadzenia Przedstawicieli NSZZ Kraków-Podgórze przedstawiliśmy wniosek w sprawie upamiętnienia czynu Mariana Batki wnoszący o:

— nadanie jednej z nowych ulic i szkół Podgórze imienia profesora Mariana Batki;

— nadanie — jako jednemu z pierwszych — pomnikiem Krzyża Oświęcimskiego;

— wmurowanie w bloku 11 Obozu Koncentracyjnego w Oświęcimiu tablicy upamiętniającej bohatera czynu Mariana Batki — w 45 rocznicę Jego śmierci, łącząc to z pokojową manifestacją związkowców Krakowa i Podgórze.

Z satysfakcją możemy poinformować, że Konfe-

rencja Dzielnicowa NSZZ wniosek nasz przyjęła jednomyślnie.

Żywimy nadzieję, że w ten sposób potrafimy zainteresować władze i społeczeństwo powyższą sprawą. Ze swej strony deklarujemy pomoc organizacyjną i finansową.

Zarząd NSZZ
PPEB i WB „FADOM”
Kraków

SOBIESKI W PALAZZO UFFIZI

Szanowna Redakcjo!

Zwiedzając we Florencji wspaniałą galerię sztuki w „Palazzo degli Uffizi”, mile zaskoczony byłem, rozpoznając w głównym hallu, wśród portretów światowych ludzi i słynnych mężów stanu, tworzących jakoby fryz mało dostrzegalny przez zwiedzających, również wiele bliskich nam osobistości polskich z XVII i XVIII wieku.

Na załączonym zdjęciu (niezbyt udanym) widać m. in. portret króla Jana III Sobieskiego. Opro-

wadzający nie potrafił mi wyjaśnić historii i bliższego pochodzenia tych obrazów. Może notatka ta zainteresuje polskich historyków sztuki.

Eugeniusz Ciurla
Chevilly-Larue
Francja

PSIE ZAWODY

Wystawy psów połączone z konkursami są imprezami powszechnie znanymi i lubianymi. Natomiast mało się wie o innej psiej imprezie — FIELD TRIALS. Tak się nazywają z angielska polowe próby psów myśliwskich (wyzłów angielskich i niemieckich krótkowłosych).

W tych zawodach psy startują wraz z przewodnikiem, przeważnie właścicielem, parami. Ocenia się umiejętność „chwytania wiatru”, a więc odkrywania zwierzyny, szerokość i szybkość chodów, sekundowanie myśliwemu, styl pracy, znaczy — zachowanie się psa podczas wystawiania zwierzyny. Psy tropiły zające i ptaki łowne, które tym razem były zupełnie bezpieczne, bo zawody odbywają się w okresie, gdy nie ma polowań.

Psie próby polowe organizowane są pod imieniem nieżyjącego już prof. dr. Teodora Marchlewskiego, specjalisty w dziedzinie genetyki hodowlanej (był rektorem UJ), inicjatora „Field Trialsów”.

Niedawne ogólnopolskie „Field Trialsy” odbyły się po raz XXIII, a po raz dziesiąty — na terenach łowieckich jednego z krakowskich kół myśliwskich — „Kormoran”, w Raclawicach Kościuszkowskich.

Do prób polowych stanęło 17 psów w klasie otwartej, a 7 — w młodzieżowej. W klasie otwartej zwycięzcą został wyżej niemiecki krótkowłosy IBAR-DUNAWA (właściciel K. Zubek z Krakowa).

Wspomniany gospodarz zawodów, koło „Kormoran”, które w tym roku odlicza sobie już 25-lecie, dysponuje nie tylko dogodnymi dla zawodów terenami, ale i „bazą” dla odbywania tego i innego rodzaju imprez.

Przy okazji — informacja turystyczna! Idąc od wsi Raclawice w kierunku wzgórze, na którym jest kopiec Kościuszki, odnajdziecie za tym wzgórzem jakby wąwóz, prawdziwie zielone uroczysko. Doskonale miejsce na weekend. Opiekuje się nim „Kormoran” w ścisłej współpracy z gminą Raclawice-Placznica i Raclawickim Towarzystwem Kulturalnym.

Są tu ławki, stoły, kiosk gastronomiczny, który można uruchomić w czasie imprezy na świeżym powietrzu. Są też ubikacje (!).

Można tu, w pobliżu, dojechać samochodem. A pieski, nie tylko te z „Field Trialsów”, mają gdzie pobiegać.

Pussy K.
z Krakowa

ROBOTNICZY O SOBIE I SWOICH DAŻENIACH

INSTYTUT BADAŃ KLASY ROBOTNICZEJ Akademii Nauk Społecznych w Warszawie ogłasza WIELKI KONKURS na osobistą wypowiedź pod hasłem „MOJE ŻYCIE, PRACA

i DAŻENIA”. Organizatorzy serdecznie zachęcają do udziału w konkursie wszystkich, którzy pracują na stanowiskach robotniczych, czują się robotnikami oraz członków ich rodzin, prosząc o nadesłanie w terminie do końca września 1985 roku na adres Instytutu Badań Klasy Robotniczej (00-950 Warszawa, ul. Szopena 1, p. 512, V p.) wypowiedzi, liczącej około 10 stron maszynopisu (lub czytelnego rękopisu). Można także nadsyłać wypowiedzi na adres redakcji pisma, w którym ukazuje się niniejszy apel.

Forma wypowiedzi jest dowolna. Może to być zwykły codzienny notatnik z jednego dnia, tygodnia, miesiąca, pamiętnik, wspomnienie, list, zapis myśli, refleksji, spostrzeżeń, uwag, postulatów, polemika z kimś lub z czymś, krytyka osób czy zjawisk, program, itp. Nadesłane prace posłużą wyłącznie do badań naukowych. Niektóre z nich — przy zachowaniu, na życzenie, nazwiska tylko do wiadomości redakcji — będą publikowane w pismach, które konkurs ogłaszały. Powołany w lipcu br. sąd konkursowy wytypuje najciekawsze prace i przyzna pięćdziesięciu autorom nagrody w jednakowej wysokości, po 5000 zł każda (łącznie 250 tys. zł).

Nie wprowadzając stopniowania nagród, organizatorzy konkursu pragną podkreślić, że nie chodzi o konkurs pisarski, lecz skromne uhonorowanie tych, którzy — zdaniem jury — nadesłali prace najcenniejsze dla badań naukowych: szczerze, bezpośrednio, pisane tak, jak na co dzień myślimy i mówimy o sprawach dla nas osobiste i dla naszych najbliższych — rodziny, przyjaciół, towarzyszy pracy — najważniejszych, najbliższych, najbardziej aktualnych i pilnych, dotyczących bytu codziennego, otoczenia, zakładu pracy, kraju i świata. Przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

Organizatorzy proszą, by w wypowiedzi lub na dołączonej kartce każdy piszący podał krótkie dane o sobie, takie jak: wiek, wykształcenie, zawód, rodzaj (wielkość) zakładu pracy, stan cywilny i rodzinny, itp. Dane te są ważne dla analiz naukowych.

Z zebranych wypowiedzi powstanie zbiorowy obraz opinii i dążeń polskiej klasy robotniczej, stanowiącej ponad połowę naszego narodu. Będzie to portret złożony z głosów robotniczych, wynikających z rzeczywistego doświadczenia życiowego, z troski o pokonanie trudności, o wyjście z kryzysu, o dokonanie reform we wszystkich dziedzinach naszego życia narodowego i państwowego, o osiągnięcie trwałego porozumienia społecznego, o stworzenie pomyślnych perspektyw rozwoju naszej Ojczyzny i pokoju w świecie u progu XXI wieku.

INSTYTUT BADAŃ
KLASY ROBOTNICZEJ
Akademii Nauk Społecznych
w Warszawie

DZIĘKUJEMY ZA „CZAS NASTURCJI”

Szanowna Redakcjo „Przekroju”!

Chcielibyśmy podzielić się wrażeniami ze spektaklu „Czas Nasturcji” Barbary Wachowicz, w reżyserii Bohdana Głuszcza i Wacława Ulewicza, granego na deskach Teatru Ludowego w Nowej Hu-

cie. Autorka tego przedstawienia jest wszystkim świetnie znana, gdyż w latach 70 — „Przekrój” drukował wiele jej esejów o Wielkich Polakach i reportaży z podróży, podczas których autorka tropiła ślady polskości.

Trudno jest przedstawić biografie wielkiego człowieka, powiązać z jego twórczością i zamknąć w ramach dwugodzinnego spektaklu. Jednak zamilowanie tematu, talent i erudycja autorki zwyciężyła i tą drogą chcielibyśmy podziękować pani Barbarze Wachowicz za chwilę wzruszeń i przybliżenie nam postaci Jana Kasprowicza — sądzimy, że nie tylko nam, ale i licznie zgromadzonej młodzieży.

Twórczość Kasprowicza ogólnie znana, a jednak na tle jego życiowych smutków i radości nabiera zupełnie innego znaczenia. Ileż mądrości życiowej i miłości w postawie ukochanej, trzeciej żony poety — Marusi (granej przez Zdzisławę Wilkównę). Będąc kilkakrotnie na Harendzie, nigdy nie zdawaliśmy sobie sprawy, że było to miejsce aż tak ukochane przez poetę i jego towarzyszkę życia. Jeśli odwiedzimy ją jeszcze raz — to na pewno spojrzymy na to miejsce inaczej — ciepiej i będziemy szukać śladów tych, którzy tam byli szczęśliwi.

Realizacja widowisk tego typu jest potrzebna i konieczna. Dlaczego? Jest to wspaniały bodziec do zainteresowania życiem i twórczością Naszych Wielkich, o których niby wszyscy wszystko wiemy, a tak naprawdę to wiedza ogranicza się do stereotypowych, ogólnych opinii, które tak niewiele mówią.

Właśnie dzięki pobudzeniu naszej wyobraźni i zainteresowań przez pasję p. Barbary Wachowicz poznaliśmy życie i twórczość romantyków — Sienkiewicza, Zeromskiego czy Chopina.

W naszym zabieganym, nerwowym i szarym życiu ta nuta poezji i nuta zadumy nad dawnymi laty jest ciepłym promieniem słońca, rozjaśniającym nasze skolatanie dusze.

Czekamy na dalsze biografie tego typu, np. o T. Boyu-Zelenskim czy St. I. Witkiewiczu.

Danuta i Zbigniew
Dziedzicowie
Kraków

SŁOWNIK POWSTAŃCÓW WIELKOPOLSKICH

Szanowna Redakcjo!

Opracowując noty biograficzne dla Słownika Powstańców Wielkopolskich pod kierunkiem naukowym prof. dr. Antoniego Czubińskiego (Instytut Zachodni w Poznaniu) oraz dr. Bogusława Polaka (Instytut Nauk Społecznych WSiNz. w Koszalinie), poszukuję rodzin następujących powstańców: Ludwika Baranieckiego, Antoniego Biskupskiego, Pawła Hądziłki, Walentego Jachmana, Mariana Jankiewicza, Edmunda Klemczaka, Stanisława III Kozy, Antoniego Kozaka, ks. Stanisława Kuliszaka, Stanisława Łackiego, ks. Stanisława Maciaszka, Michała Milewskiego, ks. Wincentego Miśkiewicza, Józefa Strzydomskiego, Kazimierza Szczecińskiego, Piotra Szmatuły, Pawła Thomasa, Stanisława Tomiaka, Władysława Wolniewicza, Kazimierza Zenk-telera.

Proszę o kontakt na adres: mgr Zdzisław Kościński, Plac XX-lecia PRL 1/4, 64-300 Nowy Tomyśl.



Sceny z życia poety:

Czas Kasprowicza

B ARBARA WACHOWICZ* — biograf wielkich naszej literatury, o niezwykłym zaangażowaniu propagator wiedzy o Henryku Sienkiewiczu i Stefanie Żeromskim, pisarka i publicystka oczyszczająca z prochu niepamięci postacie dla ojczystej kultury zasłużone (vide — jej duży cykl artykułów o Karolu Kurpińskim drukowany ostatnio na

łamach tygodnika „Stolica”) postanowiła z wysokości teatralnego proscenium opowiedzieć historię życia Jana Kasprowicza. Jej spektakl „Czas nasturcji” będący jak głosi podtytuł „scenami z życia” poety, zrealizowany został na deskach obchodzącego w tym roku trzydziestolecie istnienia Teatru Ludowego w Nowej Hucie. Sądzę, iż jest znakomitym przygotowaniem nie tylko Krakowa — miasta autorowi „Mojego świata” serdecznie bliskiego — do obchodów przypadającej w grudniu tego roku 125 rocznicy urodzin artysty.

Stworzenie teatru biograficznego czy też uszczelnienie biografii. Te dwa określenia najlepiej chyba charakteryzują zamiysł autorki, której pomogli reżyserzy z rozmachem zrealizowanej całości — Bogdan Głuszcak i Waclaw Ulewicz. Ten drugi również tworząc interesującą postać samego Kasprowicza.

W zacisznej zakopiańskiej Harrendzie, gdzie spędził w otoczeniu przyjaciół i u boku wiernej żony Marii (z gracją i ciepłem grają Zdzisława Wilkówna) ostatnie lata bogatego życia, przywołuje poeta obrazy przeszłości. Dzieciństwo na Kujawach, lata walki o zachowanie języka ojców podczas Kulturkampfu (nadzwyczaj dojrzałe aktorsko występy w rolach inowrocławskich gimnazjalistów — grupki młodzieży nowohuckich szkół) czy wreszcie serdeczne lecz

zakończone osobistymi tragediami — kontakty z elitą młodopolskiego świata artystycznego... Czasy „Zielonego Balonika” i tętniących literackimi dyskusjami „Jamy Michalikowej” — wnoszą do całości spektaklu czar tej jakże barwnej epoki. W tych scenach urzeka Henryk Giżycki — jako Stanisław Przybyszewski. Grają też m. in. Jolanta Biela (Dagny), Zbigniew Zaniewski (Boy), Krzysztof Górecki (W. Korab-Brzozowski) czy Jarosław Koźmiński (Lucjan Rydel) — ze swobodą w której znać, nie tylko dla sceny przygotowaną, wiedzę o kreowanej postaci.

Rzetelność autorki „Czasu nasturcji” sprawiła, iż wszystkie monologi i dialogi spektaklu są autentyczne — zaczerpnięte z korespondencji i dzieł twórcy „Marcholta...” i jemu współczesnych. Podnosi to wartość literacką sztuki, która poza walorami artystycznymi (ciekawa scenografia Józefa Napiórkowskiego i Ryszarda Stobnickiego, efektowne elementy choreograficzne do muzyki Andrzeja Zaryckiego) znakomicie propagują wiedzę o Janie Kasproviczu zachęcając do sięgania po jego piękną poezję.

PAWEŁ SMOGORZEWSKI



Waclaw Ulewicz (Jan Kasprowicze) i Zdzisława Wilkówna (Maria Kasproviczowa) w spektaklu Barbary Wachowicz „Czas nasturcji”.

Fot. — Z. Lagocki

* Państwowy Teatr Ludowy — Kraków — Nowa Huta. Barbara Wachowicz: „Czas nasturcji”. Reżyseria — B. Głuszcak, W. Ulewicz. Scenografia: J. Napiórkowski, R. Stobnicki. Ruch sceniczny — B. Głuszcak. Muzyka: A. Zarycki. Premiera 1985 r.

